

Recenzja Łucja Siedlik sesja popołudniowa 3 grudnia 2024

Świat dźwiękowy Eugène'a Ysaÿe jest chyba Stefanowi Šimonca-Opricie wyjątkowo bliski. Wybrał pierwszą z jego sześciu sonat – nie tak często grywaną, bodaj najsilniej osadzoną w tradycji Bachowskiej, a jednak o wyrażnie Ysaÿowskiej kresce. Nie mogę powiedzieć, żeby Šimonca-Oprita przez cały recital trzymał słuchacza za gardło – miałam wrażenie, że chwilami gdzieś myślami odpływa, pozwalając muzyce toczyć się samej. A jednak! Jego *rallentando* pod koniec *Grave* – to jedna z chwil, w których na moment zatrzymuje się czas. Nie jest skrzypkiem, którego można posądzić o efekciarstwo czy chęć przypodobania się publiczności – bije od niego jakaś stoicka mądrość, naturalne rozumienie frazy, powściągliwość, namysł. Wzbudza zaufanie stabilnością gry, niespiesznym, cierpliwym dosłuchiwaniem przebiegów, szacunkiem do tego, co w partyturze, brakiem egzaltacji i koncentracją, by wydobywać ze skrzypiec dokładnie to, co między zapisanymi dźwiękami. Jego Ysaÿe nie był dramatyczny – raczej szlachetnie zaśluchany, naturalnie logiczny. Imponująco brzmią pod palcami Šimonca-Oprity akordy i wszystkie te fragmenty, w których może swobodnie, z pełnym rozmachem pociągnąć smyczkiem. Nie wiem, czy brak żeberka nie utrudnia mu życia we fragmentach lirycznych, w nieco niższej dynamice, gdzie o oparcie trudniej. Najmniej przekonał mnie w jego wykonaniu Nowak. Fakt, że postawienie pierwszej tercji w AS jest chyba karkołomne, a cały oszczędny początek utworu wymaga raczej zimnej krwi niż gorącego serca, ale chłodu na mój gust było tu już za dużo. Miałam wrażenie, że kolejne układy dźwięków są Šimonca-Opricie obojętne – brakowało mi opowieści, drżenia między zmieniającymi się składnikami dwudźwięków. Mało życia było w tym odczytaniu.

Zupełnie inaczej niż u Gai Wilewskiej, u której od pierwszych taktów AS słyhać było dramat. Każdy dźwięk miał swój kierunek, inne nasycenie, rozwibrowanie, ładunek energii. Również jej Wajenberg wydawał się dobrze przemyślany, staranny, konsekwentny. W *V Sonacie* granej przez Šimonca-Opritę i towarzyszącego mu Grigora Asmaryana moją uwagę skradł pianista. Jak on zagrał ten niezwykły, zawieszony między żalem a akceptacją, melancholią a pragnieniem, początkowy temat! – szeroką, pozbawioną kresek taktowych frazą, głębokim, miękkim dźwiękiem. To jego buzujące podskórnio pasażę, jego drobne wychylenia ekspresyjne i dynamiczne kształtowały przebieg *Sonaty* – nie Šimonca-Oprity. U Gai Wilewskiej i Yevhenii Prysiashny miałam poczucie większej równowagi – Prysiashna wcale nie mniej plastycznie niż Asmaryan malowała gęsty, kompleksowy pejzaż otwierający dzieło, ale za to Wilewska wpisała się w niego głądziej, harmonijniej niż Šimonca-Oprita. Jej starannie, raczej jednorodnie, ale jednak zajmująco i wrażliwie prowadzone frazy współgrały z partią fortepianu, dodawały całości kolorów. W II części przejęła inicjatywę, zgrabnie zachowując balans między burzliwą ekspresją a kulturą dźwięku. Świetnie panuje nad instrumentem ta przecież bardzo młoda skrzypaczka, ale i gra z naturalną muzykalnością, ciekawością dźwięków, potrzebą nadawania każdemu z nich muzycznego sensu; potrafi też dobrze rozplanować dramaturgię utworu. Ale dlaczego z całego bogatego repertuaru skrzypcowego na zakończenie recitalu wybrała popisową *Fantaisie brillante* Ernsta? Po głęboko dojmującym Wajnbergu zabrzmiała wyjątkowo niefortunnie, nie na miejscu, mówiąc o wykonawczyni niewiele ponad to, że jest skrzypaczką sprawną. A to przecież pokazała już wcześniej. Szkoda! Może to i utwór konkursowy, ale nie wiem, czy akurat na ten konkurs.